Fragment utworu w przekładzie

Laura Vogt
Das Jahr des Kalks

Dörlemann Verlag, Zürich 2026
ISBN 978-3-03820-186-1

Str. 7-26

Laura Vogt
Materia życia

Przekład: Zofia Sucharska



© 2026 Litrix.de

Ślady wody, deszczu, zmieszane ze śladami reprodukcji: warstwa żółtawego pyłku ze wzorem z wyschniętych kropli pokrywa szybę w oknie przede mną, szybę przed moim biurkiem.

To ślady prób przetrwania, prób pozostania. To ślady bezsensu: pyłki na moim oknie niczego nie zapyliły, zamiast tego od miesięcy pogarszają mi widoczność.

Nie widzę go stąd, ale doskonale wiem, że tam jest: przy tej samej ulicy co budynek pracowni, w której piszę, znajduje się pięć pozostałych domów mieszkalnych, a bezpośrednio za nimi zaczyna się teren szpitala kantonalnego. Nie wiem wprawdzie, w którym z licznych budynków, na której sali pod którym numerem, ale wiem, że Per leży tam od wczoraj.

Na zewnątrz mimo palącego sierpniowego słońca wszystko wciąż zielenieje i rośnie, podczas gdy ja siedzę tutaj, w środku, obok trzymetrowego fikusa, w dobrowolnej izolacji. Siedzę w tej próżni i coś wędruje mi po kręgosłupie w górę i w dół: to smutek.

Znów rośnie także fikus. W ostatnim czasie na niektórych gałązkach wypuścił drobnie listki, po tym, jak zimą i wiosną większość liści zżółkła i opadła na podłogę. Drzewko umiera, pomyślałam, tak jak Per, powoli i nieubłaganie; najpierw liście, potem gałęzie, pień, a na koniec korzenie. Czy tak umierają fikusy? Czy nie jest na odwrót i wszystko nie zaczyna się od korzeni?

Drzewko postawiłam tu dopiero na początku zimy, taczką przewiozłam je przez pół miasta, bo nie mogło zostać w swoim dotychczasowym miejscu – w gabinecie mojej terapeutki. Kiedy już po jednej z pierwszych wizyt wspomniałam, jak bardzo mi się podoba, terapeutka powiedziała, że jest zbyt duże i rozłożyste na pomieszczenie, do którego wkrótce przenosi gabinet. „Chce je pani?”, zapytała.

W pracowni mam tylko jedno okno, ale za to jest ono duże. I brudne. Przez wzór z kropli patrzę na dół na ulicę, na plac z przyrządami do ćwiczeń. Dwóch młodych mężczyzn trenuje bez koszulek, podciąga się na drążkach na różną wysokość, opuszcza w dół, podciąga, wprawia mięśnie w drżenie. Sprzeciwiają się grawitacji już w zalążku, wzmacniając swoje ciała. Sprzeciwiają się jakiejkolwiek słabości. Ryzyku zachorowania. Przemijalności.

Rozlega się sygnał tak głośny, że słychać go aż w pracowni; zmiana pozycji. Za placem z przyrządami znajduje się boisko do siatkówki, a jeszcze dalej główna ulica, która prowadzi do autostrady. A po prawej stronie jest szpital kantonalny, w którym leży Per.

Per jest chory, Per jest moim wujkiem. Moim chrzestnym. Głos Pera przypomina mi głos mojego ojca. Jednak w przeciwieństwie do ojca Per odwiedził mnie w dniu moich jedenastych urodzin, jak również dwunastych, trzynastych i czternastych, zaś wkrótce po piętnastych polecieliśmy razem na kilka dni do Londynu.

Per pozwalał mi zostawać u siebie na noc w weekendy i spać na materacu koło swojego łóżka w dwupokojowym mieszkaniu; przed pójściem spać głaskał mnie po plecach – a ja jego.

Razem z Perem chodziliśmy w góry, w wysokie góry po tym, jak mój ojciec dawno już zerwał z nami, z całym swoim dotychczasowym życiem, od dawna był już daleko.

Z Perem staliśmy na szczycie, trzy tysiące metrów nad poziomem morza; razem patrzyliśmy w dal.

Rok wcześniej otrzymał diagnozę. Miał już za sobą rok chemioterapii, rok nawrotów, zmagań. A także rok coraz większej łagodności.

Wczoraj skończył sześćdziesiąt lat. Jednak wiek nie odgrywa już żadnej roli. Liczą się dni życia, które mu pozostały, być może tygodnie. Per chciałby, żeby były to lata.

„Tak bardzo chciałbym tu zostać", powiedział mi, gdy spotkaliśmy się przedostatnim razem u niego i Ingrid, jego żony. Siedział na kanapie, z malującą się na twarzy niepewnością, jakiej nie okazywał mi często. Łzy spływały mi na koszulkę i zostawiały ciemne kropki, ale część z nich udało mi się powstrzymać; gromadziły się w gardle, gdzie powoli zamarzały. Znów próbowałam spojrzeć mu w oczy, na darmo. Per uspokoił się i wydmuchał nos, po czym wydusił z siebie jeszcze dwa słowa: „Tak, wiem".

Teraz wiem już tylko tyle, że Per leży gdzieś tam, w jednym z budynków szpitala kantonalnego, na jednym z pięter, na jednej z sal; ja zaś wciąż czuję, że coś ściska mnie za gardło, coś twardego, co utrudnia oddychanie. Ingrid zawiozła go wczoraj wieczorem na pogotowie po tym, jak nie tknął swojego urodzinowego ciasta i jak w ostatnich dniach w ogóle nic nie zjadł. Ból się pogorszył, napisała Ingrid mojej mamie, a ona napisała mi i mojemu rodzeństwu.

Już tydzień temu, gdy spotkaliśmy się po raz ostatni, zauważyłam, że Per opadł z sił. Zero łez, żadnych pytań w jego spojrzeniu. Nie zostało mu dużo czasu. I gdy jak zawsze siedziałam w autobusie powrotnym do miasta, zrozumiałam, że wszystko może potoczyć się bardzo szybko. I że koniecznie chcę zobaczyć się z nim raz jeszcze, żeby się pożegnać. Z

„jednym z ostatnich męskich potomków naszego rodu”, jak sam nazywał siebie czasami, na wpół ironicznie.

Chcę się pożegnać. Inaczej niż w przypadku mojego ojca, który nas zostawił, chociaż nie zniknął fizycznie. Był nauczycielem, latami wchodził i wychodził do pokoju obok mojej klasy, mijając mnie i nie zwracając na mnie uwagi.

Czy mogę wkrótce znów cię odwiedzić?, napisałam Perowi dwa dni po naszym ostatnim spotkaniu. Odpisał tylko, że często o mnie myśli, ale nie ma siły. *Czy możemy przełożyć twoją wizytę? Jeszcze ci napiszę*.

Wczoraj rano podziękował za życzenia urodzinowe, dodał kilka słów o tym, jak bardzo tęskni za lipą na obrzeżach wsi, która w ostatnich miesiącach była celem jego spacerów.

Tymczasem ja siedzę tutaj, ze zdrętwiałymi nogami, podczas gdy wiatr przed domem targa wysoką lipą. Pod drzewem ludzie ćwiczą ciała, jak gdyby trening dawał im gwarancję, że pewnego dnia wcale ot, tak nie znikną.

***

Co pozostaje?

Zapisuję to zdanie na samej górze pustej strony w notatniku, wsuwam ołówek między kartki, zamykam notatnik, opieram łokcie na blacie stołu i potrząsam dłońmi. Potrząsam, aż czuję, jak stawy robią mi się bardziej giętkie, palce rozluźnione. Potem otwieram laptopa.

***

Jak umiera fikus?

Wyszukiwarka wypluwa czterysta tysięcy wyników. Na szybko nigdzie nie widzę informacji, jak dokładnie przebiega proces obumierania fikusa, czytam tylko, jakie mogą być tego przyczyny. Pod nagłówkiem „Tak mówi specjalista od roślin” jest napisane: „Fikus w przeciwieństwie do wielu innych roślin doniczkowych potrzebuje dodatkowej porcji wapnia, który wzmacnia liście. Kiedy nie ma do dyspozycji wystarczającej ilości wapnia, a do tego jest przestawiany w inne miejsce, natychmiast gubi liście”.

Ten fikus stał dwadzieścia pięć lat w gabinecie mojej terapeutki, która nigdy go nie przesadziła, nie podparła, tylko raz w tygodniu podlewała go szklanką wody. W nowym gabinecie, o połowę mniejszym od poprzedniego, odwiedzałam ją nieregularnie. Kończyłam pracę nad trzecią powieścią i chciałam odetchnąć, ale choroba Pera wytrąciła mnie z

równowagi. Podczas ostatniej sesji trzy tygodnie temu wspomniałam o porannym drętwieniu rąk i myśli, które w ostatnim czasie przybrało na sile i które doskonale znałam z przeszłości, z czasów, kiedy zostawił nas ojciec.

„Co dotychczas pomagało pani w takich sytuacjach?", zapytała terapeutka.

„Pisanie", odparłam. „Kończę aktualny tekst. Potrzebuję czegoś nowego. Nowego pomysłu, żeby się nie zgubić".

„To zrozumiałe", odparła terapeutka. „Proszę jednak nie nakładać na siebie presji. Proszę dać sobie czas. Pozwolić na przerwy, w których podda się pani temu, co panią interesuje. Jeśli pani chce, następnym razem możemy omówić podejście terapeutyczne, które w pani przypadku wydaje mi się obiecujące".

Tutaj, w mojej pracowni, fikus sięga prawie do sufitu. Mimo tak wielu brakujących liści jego forma ma w sobie coś dzikiego: Połowa – ta część, która w gabinecie była zwrócona do okna – jest bardziej rozłożysta i nieco wyższa niż ta, która rosła w stronę ciemniejszego wnętrza pomieszczenia.

Fikus – jego pełna nazwa to *ficus benjamina* – należy do morwowatych, czyli niezwykle zróżnicowanej rodziny roślin. W klimacie tropikalnym i subtropikalnym rośnie na polanach i skraju lasów, potrzebuje ciepła i wilgoci.

Dotychczas nie dawałam mu wapnia, tylko wyłącznie kranówkę, kiedy wracałam od Pera z domu. Siadałam przed drzewkiem i z niepokojem przyglądałam się żółtym liściom, wątłym gałązkom; uparcie wpatrywałam się w nie tak długo, aż w końcu coś we mnie ustępowało.

Pewnego dnia zauważyłam ledwo widoczne pąki liści, które zaczęły rosnąć i zrozumiałam, że drzewo odzyskało siły.

Nagle znów powróciła nadzieja, że fikus odżyje.

***

Wapno do roślin –

Na ekranie przede mną rozpościera się wachlarz rozmaitych produktów; „Calcium Plus", płynny nawóz przyspieszający wzrost i zapobiegający gniciu wierzchołka i plamistości; „Calcium Kick" do regulacji pH ziemi, jak również zdjęcie opakowania z trawnikiem angielskim i kwiatami, a pod spodem napis: „Wapno – granulat. Chaux – granulée. Calce – granulata". Skroluję dalej, czytam, że produkt poprawia kwasowość gleby,

przyspiesza rozrost korzeni i wzrost rośliny, a ponadto poprawia biologiczną aktywność podłoża.

Wyszukiwarka podsuwa mi także „Calcium Shot". Zaskoczona klikam w link. Produkt nie jest przeznaczony dla roślin, lecz dla ludzi: wegetariańskie saszetki do bezpośredniego spożycia z wapnem, magnezem, cynkiem, witaminą D3 i C. Producent obiecuje silne kości i mięśnie oraz mocne nerwy – słodzone ksylitolem naturalnie występującym w brzozie.

Co należy zapewnić człowiekowi, by utrzymać go przy życiu? Jedzenie i leki. Może także „Calcium Shot". Czego potrzebuje Per?

Pochylam się nad fikusem, zagłębiam palce w ziemi: miękka, wilgotna. I ciepła, jak łóżko o poranku, w którym naprzeciwko leżała moja córka. Jej trzyipółletnie ciało leżało ukryte pod kołdrą, pod spodu wystawała tylko główka z odstającymi kosmykami. Zaciekawiona popatrzyła mi w oczy i zapytała: „Kochasz mnie?"

„Tak", odpowiedziałam. „Kocham cię tak mocno, że nie da się tego opisać".

Wyciągnęła spod kołdry prawą rączkę i ostrożnie położyła mi ją na twarzy, po czym pogłaskała mnie po policzku. Zrobiłam to samo: po jej jasnym czole, nosku i piegach; jej nienaruszonym ciele. Ciele pełnym życia.

Później chodziła po korytarzu, śpiewając i unosząc rączki; ile ona ma siły w paluszkach. Ten charakterystyczny sposób, w jaki się porusza, ożywiający każdy centymetr swojego ciała, z takim zapałem, że nieustannie przyglądam się jej ze zdumieniem.

Moja córka według zasad klasyfikacji biologicznej należy do rodziny człowiekowatych, podobnie jak jej starszy brat, jak ja, jak Per. Jak mój ojciec. Należymy zatem do niebywale zróżnicowanej rodziny.

Ten niepowtarzalny sposób, w jaki porusza się Per. Jego zdecydowany, szybki krok, ręcznie dziergana czapka na głowie, która sięga nad uszy. Nigdy się nie rozwlekał, zawsze mówił wszystko wprost: wyraźnie, bez ogródek. (A więc piszę w czasie przeszłym: „mówił").

Wycieram o spodnie palec brudny od ziemi i otwieram okno. Wszyscy wciąż tam są: ludzie na przyrządach i boisku do siatkówki. Piłka zostaje zaserwowana; przyjęcie, podanie, odbicie; przyjęcie, podanie, odbicie.

Ciało pełne życia. Per naprzeciwko mnie, kilka tygodni temu, na kanapie w swoim salonie, siwe włosy, zaróżowione policzki. Opowiada o chemioterapii dzień wcześniej, o tym, jak bardzo to wszystko go męczy. Że nie traci nadziei. A ja łapię się na tym, że widzę w nim więcej niż to, co gołym okiem widać w tamtej chwili. Widzę jego osobę. Rozpoznaję w nim także swojego dziadka o okrągłej twarzy i ojca o orlim nosie; i nagle chciałabym

zobaczyć, co to takiego – życie, które nosi w sobie Per. I w ogóle chciałabym zobaczyć, czym jest życie. Widzę, jak Per porusza ustami, jak mówi, ale też przez bardzo krótką chwilę widzę, jak leży, nos ma zarysowany jeszcze wyraźniej, żuchwę nieco zapadniętą, skórę już woskowatą i myślę, że niedługo będzie tak leżał, jego ciało, które już nie będzie się ruszać, które na razie jest tutaj.

Na tę myśl – mimo że trwającą zaledwie ułamek sekundy – przechodzi mnie dreszcz, podczas gdy Per leży tutaj, z jedną dłonią pod głową i drugą na brzuchu, który go boli. „Dobrze się czyta", mówi o kryminale na stoliku obok, „niezłe powieścidło". Następnie sięga po kilka pestek dyni do miseczki obok książki, wkłada je sobie do ust i lekko się unosi. Wciąż jest tym samym ciałem, niegdyś należącym do dziecka, trzylatka, który leżał w łóżku swojej mamy. Ciało, które niegdyś było młode. Grało na skrzypcach. Jeździło bobslejem. Per, który chodził po górach, godzinami i dniami, także ze swoim bratem, Klasem, moim ojcem.

Wiem, że kiedy pójdę do domu, Per wysunie głowę przez okno i mi pomacha, zawoła: „Adieu!" raz i drugi, nie przestanie machać, aż mu nie odpowiem; następnie skręcę za róg i ruszę główną ulicą na przystanek, gdzie autobus będzie miał cztery minuty opóźnienia.

Głęboki wdech, wydech. Wkładam do koszyka dwa opakowania „Calcium Kick". Klikam w „Zamawiam". Gdybym znała wcześniej działanie wapnia, dawno już pomogłabym fikusowi. Zamawiam też opakowanie „Calcium Shot". Dla kogo, dla siebie?

Próbuję siedzieć prosto; terapeutka powiedziała kiedyś, że postawa ma duże znaczenie. Czuję kłucie w krzyżu, ból w ramionach, ucisk w gardle. Wstaję, kładę dłonie na blacie biurka i rozciągam plecy. Per wciąż tutaj jest. Przede mną. Tak blisko, że wystarczyłoby wyciągnąć dłoń i mogłabym go dotknąć. Jednak ulega zmianie, rośnie mu nos, tak samo włosy; oczy ma teraz ciemne, jak gdyby nie było różnicy między tęczówką a źrenicą, między czarnym a białym, tak intensywnie się we mnie wpatruje, „ojciec".

Prostuję się. Czuję, jak moje ciało przeszywa gwałtowny ból, jak promieniuje od głowy aż do stóp; coś przenikliwego powoli odpuszcza. Stoję w swojej pracowni Za oknem jest dzień. A tu w środku czas kompletnie stanął na głowie.

***

Calcium, jak czytam, *pochodzi od łacińskiego rzeczownika „calx" – wapna, a więc oznacza „metal z wapna".*

Czytam też: Wapń to składnik mineralny; piąty w kolejności najczęściej spotykany pierwiastek na Ziemi. W czystej formie można go spotkać jedynie w laboratorium, gdzie zachowuje srebrzysto lśniący kolor. W przyrodzie wapń natychmiast łączy się z innymi pierwiastkami, przez co bardzo często występuje jako węglan wapnia, CaCO3: skała wapienna, marmur, kreda.

W formie wapna od dawna jest wszechobecny w naszym życiu. Już w najstarszych osiedlach wypalano wapno i gaszono je wodą, po czym wykorzystywano je do produkcji zaprawy i do bielenia.

Starożytne ludy, które zamieszkiwały tereny dzisiejszej Jordanii, wytwarzały tynk z wapna i drobno zmielonej skały i za jego pomocą wzmacniały i ozdabiały ściany, podłogi i paleniska.

Starożytni Egipcjanie malowali wapnem ciało, wyprawiali skóry i z wapiennych bloków zbudowali piramidę Cheopsa. Mur piramidy był i jest wypełniony wapnem numulitowym, podczas gdy zewnętrzna warstwa została stworzona z drobniejszego, białego wapna z Tura; ze względu na jego ogromną popularność w średniowieczu niemal całkowicie wyczerpano jego złoża, by użyć go w innym miejscu.

Celtowie nawozili wapnem uprawy.

W czasach starożytnych wapno uchodziło za lekarstwo.

Farby z wapnem miały zastosowanie w greckich i rzymskich freskach.

Wapno, które wykorzystano do wzmocnienia Wielkiego Muru Chińskiego, stabilizuje grunt po dziś dzień.

Wapno jest jednym z najlepszych rodzajów spoiwa, wiedzieli o tym już Rzymianie. Wykorzystywali je jako budulec na poziomie niemal przemysłowym. Budowali niezliczone wapienniki. Podnosili jakość wypalanego wapna glebą wulkaniczną. Technikę rozpowszechnili w całym Cesarstwie Rzymskim. Wprowadzili zawód wapiennika, *magister calcariarum*.

Wstaję od biurka, idę przez pracownię do szerokiego korytarza. Tutaj w weekend moje córki w pidżamach bawiły się piłką. Teraz młodsza jest w klubie malucha, starsza w szkole, podczas gdy ich tata pracuje z domu, w naszym rodzinnym lokum na wsi.

Drzwi do pokoju Tomasza ją uchylone, w kuchni stoi jego pusta miseczka po musli, wciąż ta sama, z której jadł przez wyjazdem na długi weekend, obok karteczka: *Do zobaczenia. Buziaki!*

Do kawiarki nalewam wody z kranu, do sitka wsypuję kilka łyżeczek mielonej kawy i stawiam kawiarkę na kuchence. Słychać tu nieustanny szum samochodów, a także

skrzypienie na schodach, które staje się coraz głośniejsze. Rozlega się dzwonek do drzwi. Wracam do przedpokoju i otwieram. Przede mną stoi sąsiad, zgarbiony pod ciężarem prawie dziewięćdziesięciu lat, który nosi na swoich barkach.

„Czy mogłaby mi pani pomóc wnieść rzeczy?", pyta zdecydowanie zbyt głośno, wskazując na schody za plecami; pewnie nie założył dziś aparatu słuchowego.

W pośpiechu ruszam schodami w dół i wnoszę do domu siatki wypełnione skromnymi zakupami. W drodze powrotnej mój wzrok pada na rośliny doniczkowe na parapecie w korytarzu, rośliny, o które troszczy się sąsiad. Wszystkie bez wyjątku są zielone i zdrowe, mają mięsiste, błyszczące liście; jedna nawet kwitnie.

„Nie chciałem przeszkadzać!", woła już do mnie sąsiad.

„Nawozi je pan wapnem?", pytam głośno.

„Co takiego?"

„Czy nawozi pan rośliny wapnem?", próbuję raz jeszcze i wskazuję na doniczki. Sąsiad energicznie macha ręką.

„Już prędzej swoimi prochami!"

„Co proszę?"

Spogląda na mnie zawadiacko i stuka pięścią w kolano.

„Tym tutaj, moimi kośćmi. Niedługo wylądują w ziemi jako wapno. W ziemi do roślin!"

„Co chce pan przez to powiedzieć?"

„Recykling. A teraz dalej, wnieśmy na górę moje puszki!"

Odwraca się i rusza schodami w górę.

„Cholerne kolano", mówi po wejściu na swoje piętro. „Dziś znów jest gorzej!".

Chwyta za siatki, dziękuje i znika w swoim mieszkaniu.

Kiedy wracam do kuchni, kawa już od dawna bulgocze w kawiarce. Zdejmuję ją z palnika. Jakie tutaj, w środku, panują ciemności.

Per. Staram się o nim nie myśleć. O jego ciele, które wkrótce będzie leżeć w trumnie. Per, który chce zostać skremowany.

Może powinnam założyć kostium i w szlafroku zejść na dół, do secesyjnej łaźni. Tam jak zawsze przepłynąć kilka długości, rozruszać się, uczynić kręgosłup giętkim, na sali wypełnionej hukiem muzyki z zajęć aquafitness. Ale ja nigdzie nie mogę iść, nie chcę już widzieć nikogo, nawet swoich nóg i skóry. Znów się zaczyna, znane drżenie, wiedziałam, że wróci; próbując wziąć w posiadanie całe ciało, zabiera mi resztkę powietrza z płuc.

Muszę skupić uwagę na zegarze. Sekundnik, który tyka. Jak w zwolnionym tempie wybieram numer do mojej terapeutki. Przerwy między sygnałami są dziwnie rozciągnięte, powraca oddech. Włącza się poczta głosowa. Rozłączam się i wysyłam terapeutce e-mail, proszę o spotkanie „w miarę możliwości jak najszybciej".

Staram skupić się na dłoniach: kubek z szafki, łyżeczka z szuflady, kawa do kubka. Dodaję odrobinę cukru. Otwieram lodówkę, sięgam po mleko sojowe.

Gdy nalewam trochę do kubka, moje spojrzenie zatrzymuje się na napisie na opakowaniu, który pewnie przeczytałam już setki razy, ale chyba nigdy nie ze zrozumieniem: „Źródło wapnia. Dołącz do roślinnej rewolucji!".

Nalewam kawy do kubka aż po brzeg.

Kiedy wracam do biurka, wygaszacz ekranu pokazuje akurat zdjęcie moich dzieci. Siedzą w uścisku na ławce nad górskich jeziorem i roześmiane nie patrzą w obiektyw, tylko gdzieś dalej, jak gdyby w tle widziały coś zabawnego; policzki lśnią im od kiełbasy i halloumi.

Mam nadzieję, że to czują. Że gdzieś w ich wnętrzu, w ich komórkach, ukorzenia się poczucie, że ich ojciec i ja troszczymy się o nie na miarę swoich możliwości, nawet jeśli nie żyjemy już w relacji romantycznej. Wycieramy im łzy, zmieniamy pościel, wytrzepujemy kołdry. W salonie budujemy dla nich jaskinie, znajdujemy kryjówki, a gdybym tylko mogła, zbudowałabym im z drewna także pokoje, całe domy i pałace; miejsca, gdzie w fontannach strumieniami płynie mleko, stale zapewniając im odpowiednią ilość wapnia.

Obraz się zmienia. Teraz widzę samą siebie, razem z przyjaciółką. Siedzimy przy stole i do obiektywu wznosimy toast aperolem spritzem.

***

Pożegnanie –

Czytam, że żałoba przebiega etapami. Trwa miesiącami, czasem latami. Po etapie wyparcia następuje czas pojawiających się emocji: wściekłości, gniewu, żalu, poczucia winy.

Palcem przesuwam po gładziku w prawy górny róg, ekran robi się czarny. Widzę swoje odbicie: kąciki ust opadają w dół, zmarszczka między brwiami jest wyraźna, kosmyk włosów wysunął się spod klamry i z wahaniem opadł na ucho.

Czy poradzę sobie z bólem, zanim na mojej głowie znikną kolory, stopniowo, włosek po włosku? Czy moje dzieci zobaczą we mnie ten smutek, który czasem widać u Pera, ale

przede wszystkim stał się udziałem mojego ojca w czasach, gdy dorastałam, a jego włosy powoli zaczynały siwieć?

Czasem otwarcie okazywał nam ten smutek.

Kiedy po weekendach u niego zawoził nas z powrotem do mamy i w samochodzie mówił przytłumionym głosem, jak dobrze by nam było w starym mieszkaniu, w mieszkaniu rodzinnym. Że już za nami tęskni.

Albo kiedy pod koniec „Tańczącego z wilkami" rozpłakał się cicho na scenie, w której porucznik John Dunbar w marszowym tempie opuszcza konno plemię Siouxów, swój nowy dom i rodzinę z wyboru, a na ośnieżonym występie skalnym pojawia się „Wiatr we włosach" na swoim koniu i na pożegnanie woła: „Widzisz, że jestem twoim przyjacielem? Widzisz, że na zawsze nim pozostaniesz?".

Ojciec z czasem coraz częściej próbował ukrywać smutek. Pewnego dnia jego włosy nagle stały się czarne, a na twarzy pojawił się wyraz przygnębienia.

Wówczas już ją znał, swoją przyszłą żonę, która zasugerowała, żeby zgolił brodę, która zasłania jego prawdziwe „ja" i która poradziła mu, żeby odtąd ubierał się już tylko na czarno. Żeby uwolnił się od trójki swoich dzieci, swojego starego „ja".

Widzę moją córkę. Jak rano mnie objęła i nie chciała puścić. Płakała, gdy powiedziałem, że muszę iść, może chce mi jeszcze pomachać przez okno? Jak zawsze się na to zgodziła. Z pomocą swojego taty szeroko otworzyła oba skrzydła okienne i pomachała mi na pożegnanie. Oddalając się od niej na rowerze, poczułam w środku ucisk; dławiły mnie poczucie winy i wstydu.

A przecież nie miałam nigdy zniknąć w ten sam sposób co wtedy Klas.

Nigdy nie miałam tak jak on pofarbować sobie włosów na czarno; jeśli już, to wapniem na jasną czerwień. Niczym starożytne Rzymianki mogłam przygotować pastę z tlenku ołowiu i wapna gaszonego i nałożyć ją sobie we włosy; w ten sposób siarka i dodany ołów w styczności z białkiem we włosach w wybranych miejscach utworzyłyby nanokryształy i zmieniły kolor w siwych miejscach.

A gdyby Per podał mi numer swojej sali i godzinę, o której raz jeszcze mogłabym go odwiedzić, wówczas w milczeniu usiadłabym przy jego łóżku. I się z nim pożegnała. Przyglądałabym się jego siwym włosom i na chwilę położyła dłoń na chropowatej skórze jego policzków, w miejscu, które codziennie pędzlem smaruje pianą i goli srebrnym nożem, starannymi ruchami człowieka, który robił od zawsze robił to w ten sposób.

Unoszę głowę. Mój wzrok spod wejścia do pracowni wędruje ulicą jednokierunkową w stronę szpitala kantonalnego, obok przyrządów do ćwiczeń, zaparkowanych samochodów i drogowskazów.

Nie dociera jednak daleko; nie ma tam przejścia.

Zamykam oczy. Czekam. Widzę przed sobą rzymski wapiennik. Ułożone w półkole kamienie tworzą sklepienie łukowe. Widać tylko górną część pieca – większość jest ukryta głęboko w ziemi.